

## Wspomnienia Andrzeja Ehrlicha ps. Kot ukończone w styczniu 2022 r.

Pod koniec lipca 1944, wobec zbliżającego się frontu, wróciliśmy do Warszawy, do mieszkania pp. Maciejewskich (na rogu Szpitalnej i Zgody).

Wkrótce po wybuchu Powstania pojawili się u nas werbownicy - kilku mężczyzn. Powiedziałem im, że jestem zaprzysiężonym żołnierzem AK. Zapytali, czy mam broń. Odpowiedziałem, że nie, na co oni: „no, to do saperów!” Razem z Andrzejem i Januszem rozpoczęliśmy służbę w plutonie saperów batalionu „Kiliński”.

Służba ta była przede wszystkim ciężką pracą. Budowaliśmy barykady, kopali okopy i rowy łącznikowe, wykonywaliśmy prace przygotowawcze przed natarciami przeprowadzanymi przez grupy szturmowe, a to wszystko odbywało się pod ostrzałem niemieckim. Jednym z najpoważniejszych zadań była naprawa barykady - przejścia w Al. Jerozolimskich (czy, jak się to wtedy nazywało, w Alejach Sikorskiego). Było to jedyne połączenie Śródmieścia Południowego i Północnego, regularnie niszczone przez Niemców i regularnie przez nas odbudowywane.

W nocy z 12 na 13 sierpnia, w trakcie prac nad tą barykadą, zostałem bezpośrednio trafiony pociskiem artyleryjskim z niemieckiego czołgu, znajdującego się gdzieś w okolicy gmachu BGK. Było to tak: zgłosiłem się na ochotnika jako pierwszy z układających worki z piaskiem. Była to bardzo trudna robota, gdyż wykonywało się ją na leżąc, wsadzając w odpowiednie miejsca worki podawane przez kolegów. W jakimś momencie przez przejście przeskakiwała łączniczka, która się potknęła i na sekundę zaświeciła latarką. To wystarczyło, żeby Niemiec z czołgu strzelił. Poczujęm tylko tępe uderzenie - bez jakiegoś uczucia bólu - ale kiedy próbowałem się podnieść okazało się to niemożliwe. Zawołałem więc cicho: „pomóżcie mi, jestem ranny”. Podczołgał się do mnie dowódca plutonu. Pamiętam, jak krzyknął: „Pomóżcie mi, do cholery, on jest ciężki”. Jakoś mnie wyciągnęli i zajęły się mną dziewczęta z patrolu sanitarnego.

Cały czas byłem bardziej zaniepokojony tym, co się stało, niż zdawałem sobie sprawę z mojego stanu. Chciałem się unieść, ale sanitariuszki mi na to nie pozwalały. Poprosiłem je zatem o wodę, a kiedy na chwilę odeszły, podniosłem się i zobaczyłem swoją nogę. Dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem w niej dużą dziurę, zrobiło mi się rzeczywiście słabo. A potem dziewczyny założyły mi ucisk i naprawdę zaczęło mnie boleć. Chłopcy wzięli mnie na nosze i z każdym ich krokiem odczuwałem potworny ból. Nieśli mnie przeraźliwie długo - od Alei Jerozolimskich aż do Chmielnej przy Marszałkowskiej, gdzie w dawnej klinice Webera mieścił się nasz batalionowy szpital - a tam trafiłem od razu na salę operacyjną. Chirurg - nazywał się chyba

Topolski - powiedział mi: „będziemy musieli uciąć ci nogę”, Powiedziałem „Jezus, Maria” i chyba zemdlałem.

Obudziłem się na drugi dzień, cały opuchnięty. Był to skutek szczepionki przeciwężcowej, którą mi zaaplikowano. Zapytałem dyżurującą przy mnie siostrę zakonną co z moją nogą. Uśmiechnęła się i powiedziała „masz swoją nogę”. Nie chciałem w to uwierzyć. Powiedziałem, że to pewnie atrapa, żeby mnie uspokoić. Na to ona: „ale chyba cię ta noga boli”. Dopiero później dowiedziałem się o bólach fantomowych, o tym, że amputowane kończyny i tak bolą.

Warunki w szpitalu były luksusowe. Poprzednio była to założona przez Volksdeutcha (zresztą na rozkaz AK) klinika położnicza dla Niemek, świetnie wyposażona i dysponująca wszystkimi niezbędnymi lekami.

Leżeli tam ranni z naszego batalionu. Jednym z moich sąsiadów na 2 piętrze był ciężko ranny ppor. Tadeusz Ginter.

Regularnie, co parę dni, odwiedzała mnie pani Maciejewska. Na początku września powiedziała mi, że Andrzej zginął w trakcie naszej nieudanej próby przebicia się przez Ogród Saski, żeby umożliwić wycofanie się naszych chłopców ze Starówki.

Sytuacja w szpitalu zmieniła się, kiedy Niemcy zdobyli Stare Miasto i wzięli się za Śródmieście. Zaczęło się od tego, że za pomocą „krów”, czy jak je nazywano na Starym Mieście „szaf”, miotaczy min, spalili szpital. Nawet ciężko ranni zdołali jakoś się wydostać z naszego piętra. Na sali zostaliśmy tylko we dwójkę z Tadeuszem Ginterem. Do dzisiaj jestem dumny z tego, że pomimo tragicznej sytuacji dowcipkowaliśmy. Jak się później okazało, cały personel medyczny szpitala uciekł gdzieś do Śródmieścia Południowego. Opiekę nad pozostałością naszego szpitala przejęli lekarze i pielęgniarki z sąsiedniego szpitala na Chmielnej.

Przyszli po nas jednak kompletnie pijani chłopcy w panterkach. Jak się okazało, byli to żołnierze ze Starówki, którzy kanałami przeszli do Śródmieścia, a których poproszono, żeby pomogli przy ewakuacji szpitala. Sprowadzili nas do piwnicy, gdzie zorganizowano tymczasowe pomieszczenia. Po drodze kilkakrotnie zemdlałem, zapewne skutkiem dużego ubytku krwi i wysiłku przy schodzeniu do piwnicy. Nie wiem, co było gorsze - utrata przytomności, czy jej odzyskiwanie. Dowództwo szpitala postanowiło, że ranni zostaną przetransportowani gdzieś na Powiśle. Ja jednak uparłem się, że nie dam się ewakuować, bardziej bojąc się ponownej utraty przytomności, niż czegokolwiek innego. Koniec końców, wyrażono zgodę na to, żebym zostałem w prowizorycznych warunkach w piwnicy. Jak się w końcu okazało, był to szczęśliwy wybór, Do końca Powstania nikt już naszego szpitala nie

ruszył; Niemcy zapewne sądzili, że szpital jest kompletnie spalony i już go nie ostrzeliwali.

Z wdzięcznością wspominam opiekującego się mną lekarza, chirurga, który miał pseudonim „dr Adam”. Bardzo się o mnie troszczył; a przy okazji nauczył mnie palić. Było to tak: mocno bolała mnie noga, nudziłem go więc, żeby mi dał zastrzyk morfiny. Odpowiedział: „Gówno dostaniesz, nie morfinę. Masz, zapal papierosa, może ci to pomoże”. Rzeczywiście trochę mniej mnie bolało; paliłem jeszcze przez wiele lat, do 1967 roku.

Regularnie czytywaliśmy prasę powstańczą, zwłaszcza „Biuletyn Informacyjny” i „Rzeczpospolitą”. W ogóle w czasie Powstania pokazywało się mnóstwo tytułów prasowych, co mogło nawet budzić zdumienie. Ich lektura była głównym źródłem docierających do nas informacji - obok mnóstwa mniej lub bardziej fantastycznych plotek.

Na odrębną uwagę zasługują zrzuty lotnicze. Były one z rzadka wykonywane przez Aliantów. Pamiętam największy zrzut, dokonany z dużej wysokości przez lotnictwo amerykańskie. Niestety, większość zrzuconych przez nich zapasów wpadła w ręce niemieckie. Niekiedy także, w zależności od stosunków politycznych z Rosjanami, dokonywali oni także zrzutów, głównie nocą z tzw. „kukuruźników”, czyli małych dwupłatowców, których główną zaletą było to, że mogły dość długo szybować bez włączonych silników, co utrudniało ich wykrywanie przez Niemców.

W szpitalu brakowało jedzenia. Głównym pożywieniem była słynna „pluj-zupka”, zupa z rozgotowanego jęczmienia, którego zapasy znajdowały się w browarze Haberbuscha i Schielego.

Zbliżał się koniec Powstania. Nadal przebywaliśmy w szpitalu, a warunki wciąż się pogarszały. Między innymi pojawiły się wszy. Brakowało jedzenia. Cały czas towarzyszył nam też lęk, że Niemcy zdobędą szpital i wymordują rannych, tak, jak to robili już wcześniej na Starym Mieście. Nic takiego się jednak nie stało. Pozostawaliśmy w szpitalu do czasu kapitulacji na początku października. Wtedy, po kapitulacji, zdumiewająca była głucha cisza. Żadnego ostrzału, nic.

Któregoś dnia w szpitalu pojawiła się komisja, składająca się z oficerów niemieckich i polskich. Typowała ona rannych przewidzianych do wywiezienia do obozów jenieckich. Między innymi ja zostałem do nich zaliczony. Zabrano nas z Marszałkowskiej spod nieczynnego dworca głównego sanitarkami na dworzec Warszawa Towarowa, gdzie załadowano nas do pociągu sanitarnego. Pociąg składał się z wagonów towarowych, ale przystosowanych do przewozu rannych. Oznaczony był zresztą znakami Czerwonego Krzyża. Warunki w wagonie były bardzo dobre.

16 pryczy, na powitanie dostaliśmy po bochenku chleba i dużej konserwie mięsnej. Takich luksusów od dawna nie mieliśmy. Wachmanem był starszy, spokojny człowiek. W każdym wagonie była też nasza pielęgniarka, a co ileś wagonów lekarz.

Później dowiedzieliśmy się, że po prostu mieliśmy szczęście. Trafiliśmy do pociągu, którym jechała komisja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, sprawdzająca, jak Niemcy dotrzymują warunków kapitulacji. Podobno nazywał się pociągiem „von den Bacha”, od nazwiska niemieckiego głównodowodzącego w walkach z Powstaniem.

Mimo wszystko nie byliśmy pewni, czy trafimy do obozu jenieckiego, czy też do koncentracyjnego, takiego jak Auschwitz. Kiedy jednak minęliśmy Poznań, a później Frankfurt nad Odrą, byliśmy już pewni, że znajdziemy się w Niemczech, zapewne zgodnie z warunkami kapitulacji w jakimś obozie dla jeńców wojennych.

Rzeczywiście, trafiliśmy do Stalagu XI A, w Altengrabowie, a ściślej mówiąc do pododdziału szpitalnego tego obozu w Gross Lúbars. Pierwszego dnia byliśmy bardzo głodni; nie przygotowano nam żadnego jedzenia. Zresztą w kolejnych dniach mieliśmy się przekonać, że głód będzie nam nieustannie towarzyszyć. Dienne racje żywnościowe składały się z jakiegoś ziołowego naparu (podejrzewaliśmy, że to napar z pokrzywy), miski wodnistej zupy z brukwi i jednej siódmej części bochenka gliniastego chleba.

Dopiero po jakimś czasie - miesiącu, może dwóch - zaczęliśmy otrzymywać paczki z Czerwonego Krzyża, z cudownymi smakołykami, takimi, jak topiony ser, czekolada, konserwy mięsne - które Niemcy zresztą starannie przekłuwali, żeby zapobiec ewentualnemu gromadzeniu żywności na potrzeby ucieczki - a przede wszystkim z papierosami. Papierosy były w obozie czymś w rodzaju waluty; można za nie było kupić praktycznie wszystko.

Żywności było jednak wciąż mało; później, kiedy już zacząłem chodzić, od czasu do czasu udawało mi się dostać do grupy wybrańców, którzy z obieranie ziemniaków trochę ich dostawali. Potem się je gotowało w tak zwanych „dymajdupkach”, przenośnych piecykach z nadmuchem, w których można było palić praktycznie biorąc wszystkim.

Drugą uciążliwością było zimno. Nauczyłem się spać z przykrytą głową i oddychać w taki sposób, żeby kierować wydychane ciepłe powietrze pod koce, którymi byłem przykryty. A skąd te koce? Oprócz jednego, przydziałowego, inne kupowałem, oczywiście za papierosy.

Przekleństwem w czasie pobytu w obozie były też insekty - wszy i pluskwy - które nas nieustannie prześladowały.

Krótko mówiąc, nasz los najlepiej opisywało powiedzenie: „Głodno, chłodno, do domu daleko”.

Początkowo w obozie leżałem kamieniem, podobnie jak większość pozostających tam rannych. Trzeba podkreślić cudowną troskę i opiekę nad nami naszych pielęgniarek. Pamiętam zwłaszcza Wiesię Krasuską, z którą przyjaźniłem się aż do czasu jej udaru i śmierci w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku; Helenę Grossówną, znakomitą aktorkę, której nie przeszkadzało to w codziennej opiece nad rannymi, z podawaniem basenów czy kaczek włącznie; czy Hanę Konarską, będącą córką (i zarazem instrumentariuszką) naczelnego chirurga naszego podobozu.

W naszej części baraku (składał się z trzech takich części) było nas dwudziestu pięciu, w tym kilku oficerów. Jednym z nich był Jan Żabiński, „Franciszek” z VIII kompanii naszego batalionu, słynny dyrektor warszawskiego ogrodu zoologicznego, który nas zabawiał opowiadaniem o zwierzętach i ich obyczajach. Innym był Stefan Karpiński „Korab” z naszej VIII kompanii, z którym bardzo się przyjaźniłem. Pamiętam też podchorążego Stanisława Jaworskiego, który lubił nieco fantazjować o swoich bojowych wyczynach. Moim najbliższym sąsiadem (zajmującym pryczę nade mną) był Robert Marcinkowski z osłony Dowództwa Okręgu Warszawa.

Czas upływał powoli. Jedną z głównych atrakcji było oczekiwanie na paczki świętokrzyskie, oraz alianckie naloty na Niemcy. Z jednej strony naloty te nas cieszyły, zwłaszcza dzienne, kiedy z okien widać było samoloty; z drugiej, złościło nas, że w trakcie nalotów nie wydawano paczek, będących dla nas bardzo ważnym elementem wyżywienia. W trakcie nalotów w ogóle nie wolno nam było wychodzić z baraków. W Gross Lübars nie miało to dla nas większego znaczenia, bo i tak w większości nie mogliśmy chodzić. Później jednak bywało to uciążliwe.

Powoli zbliżał się koniec wojny. Między innymi świadczyły o tym nasilone naloty alianckie, odbywające się w dzień i w nocy. Znajdowaliśmy się dokładnie na trasie przelotów, jakieś niecałe 100 km na zachód od Berlina. Pamiętam jeden z takich potężnych nalotów; samoloty przelatowały nad nami przez dobrych kilka godzin, a potem wracały. Luftwaffe nie ośmieliła się podjąć prób ich atakowania. Byliśmy przekonani, że słyszymy huk wybuchów w Berlinie. Nic dziwnego, że byliśmy tym wszystkim rozentuzjasmowani.

Wciąż jednak nie byliśmy pewni co się z nami stanie. Krążyły rozmaite plotki - że będziemy ewakuowani (nie bardzo było wiadomo, dokąd by to było możliwe), że nas po prosu wystrzelają, albo że jeszcze zdążą wywieźć do obozów koncentracyjnych. Szczęśliwie, nic się z tego nie spełniło.

Na początku maja 1945 obozowe szczekaczki (które służyły głównie do ogłaszania alarmów lotniczych i do informowania o rozkazach dowództwa obozu) zaczęły tragicznym głosem informować, że „Der Führer ist gefallen” w obronie Berlina. Wzbudziło to w nas dziką radość. A wkrótce nadleciały angielskie samoloty i zaczęły z broni pokładowej ostrzeliwać dowództwo obozu. Wachmani wmięszali się między nas i szybko zostali rozbrojeni. Obóz był wolny. Dowództwo nad nim przejął jakiś oficer radziecki najwyższy rangą spośród aliantów.

Ze zbiorów rodzinnych udostępniła p. Aleksandra Klich-Siewiorek

© Muzeum Powstania Warszawskiego

© Aleksandra Klich-Siewiorek